

Dark Lady rises

13 sierpnia 2016

Po latach medialnego ostracyzmu, powszechnej krytyki i społecznej niechęci Żelazna Dama wraca na piedestał. Polityczny duch thatcheryzmu znów unosi się nad Wielką Brytanią. W nowej, lepszej i bardziej ludzkiej wersji. Jak na mit przystało.

Po 28 miesiącach rządów Davida Camerona zarówno torysi, jak i brytyjskie społeczeństwo są zmęczeni, rozgoryczeni i zniecierpliwieni. Torysi polityczną niemocą Downig Street 10. Brytyjczycy niekończącym się kryzysem i stale pogarszającą się sytuacją ekonomiczną. Społeczeństwo swoją narastającą frustrację może jedynie wyartykułować poprzez sondaże, manifestacje i przysłowiowe narzekanie w autobusie w drodze do pracy.

Pod warunkiem że tę pracę jeszcze ma. Torysi zaś, i to nie tylko tzw. backbenchers – posłowie z dalszych szeregów, politycznie marginalizowani – mają znacznie większą siłę i możliwości politycznego nacisku. Ich receptą na indolencję gabinetu Camerona jest powrót do konserwatywnych korzeni. Margaret Thatcher, w ostatnim dwudziestoleciu zapomniana i zdyskredytowana, ma być ideologiczną viagrą dla słabnącej politycznej potencji rządu. I wiele wskazuje, że tak właśnie będzie. W kąt bowiem zamieciono „centrowość” Camerona.

Hasła o przytulaniu chuliganów („hug a hoodie”), o najbardziej zielonym rządzie w historii, wzmacnianiu władz lokalnych, wspieraniu publicznej służby zdrowia, tak mocno akcentowane na początku kadencji, niemal zupełnie znikły z rządowej agendy i zostały zastąpione twardym, konserwatywnym rdzeniem. Żelazną, prawicową regułą. Neoliberalnymi dogmatami. A w tę narrację idealnie wpisuje się Margaret Thatcher. Zwłaszcza że obraz jej rządów nieco się zatarł w zbiorowej pamięci, a do tego jeszcze przez jej politycznych wnuków został mocno polukrowany.

Żelazna Dama po wizerunkowym botoksie, politycznej odnowie, marketingowej korekcie ma być odpowiedzią na ekonomiczne bolączki roku 2012. Konserwatyści zapominają jednak, że kryzys ostatnich czterech lat to w głównej mierze efekt jej rządów.

GDY NAD IMPERIUM ZGASŁO ŚWIATŁO

Kiedy w 1979 r. Margaret Thatcher objęła władzę, Wielka Brytania pogrążona była w ciemnościach. Dosłownie. Imperium, nad którym nigdy nie zachodziło słońce, nie mogło sobie poradzić z mrokami w macierzy. Prawdziwą plagą na Wyspach w latach 70. były przerwy w dostawie energii elektrycznej i ciepłej. Wynikało to, przynajmniej po części, z potęgi i siły górniczych związków zawodowych, które – świadome tego, że mogą w każdej chwili zgasić światło w całym kraju – korzystały z tej broni chętnie, przy okazji zrażając do siebie społeczeństwo. Gdy w 1990 r. Thatcher odchodziła z Downing Street, Wielka Brytania wyglądała zupełnie inaczej. Świateł już nie wyłączano, związki zostały rozbite, ich siła osłabła, a giełda, współczesne opium dla ludu, biła rekordy.

Ludziom żyło się lepiej, ale uwolniony z państwowych więzów rynek systematycznie kręcił dla nich wisielczą pętlę, która ostatecznie zdusiła brytyjskie szyje trzydzieści lat później. Już w 1981 r. Żelazna Dama zdecydowała się na deregulację rynku finansowego. Zaraz na początku kadencji zniesiono chociażby system rezerw obowiązkowych, czyli mechanizm, który obowiązuje w niemal wszystkich cywilizowanych krajach. Towarzysząca temu liberalizacja rynku i zasad zdolności kredytowej umożliwiły bankom, aby uwolnione w ten sposób środki ulokowały możliwie jak najatrakcyjniej. Nastął boom kredytów konsumpcyjnych i hipotecznych.

Jak zauważył w swojej książce „The State We’re In” ekonomiczny publicysta Will Hutton, z dnia na dzień Wielka Brytania przekształciła się z „narodu ciułaczy w naród utracjuszy”. W 1980 r. przeciętne gospodarstwo domowe brało 57 funtów kredytu na 100 funtów dochodu. W 1990 było to już 117 funtów na 100.

To Żelazna Dama wprawiła w ruch spiralę stałego zadłużania się społeczeństwa, które uwierzyło, że posiadanie na własność domu, którego za rządów Thatcher wartość statystycznie się podwoiła, zapewni poczucie finansowego bezpieczeństwa.

Fałszywość tego założenia została dramatycznie zweryfikowana w roku 2008. Boom mieszkaniowy i masowość kredytów hipotetycznych doprowadziły do pierwszego tąpnięcia światowej gospodarki. Dzisiaj statystyczny Brytyjczyk ma 23 tys. funtów długu, którego nie może spłacić, bo albo właśnie stracił pracę, albo drastycznie obniżono mu i tak niską już pensję. Na 25 mln gospodarstw domowych w Wielkiej Brytanii ponad 2 mln ma stale problemy ze spłatą kredytów mieszkaniowych, a kolejne 2 mln wydaje na ratę więcej niż połowę swoich dochodów. Już w 1995 r. Hutton przewidywał, że Wyspy czeka kryzys oraz fala bankowych upadków, bo społeczeństwo zadłużyło się ponad swoje możliwości, a nadzór bankowy i agencji ratingowych są fikcją. Pomylił się o 13 lat...

CITY ZAMIAST FABRYKI

Rządy Margaret Thatcher to także okres upadku przemysłu. Fabryki, jako relikty epoki industrialnej, uznane zostały za źródło gospodarczych nieszczęść i gniazdo związkowych żmij. W 1983 r., po raz pierwszy od początku XIX wieku, Wielka Brytania importowała więcej, niż wytwarzała. W 1990 r. była jedynym krajem Europejskiej Wspólnoty z ujemnym bilansem handlowym. Konserwatyści zaczęli wówczas propagować hasło o „społeczeństwie postindustrialnym”, które zamiast męczyć się fizycznie w dymiących fabrykach, pracuje w klimatyzowanych biurach i dobrobyt wypracowuje pracą umysłową. To usługi, a nie produkcja, miały być motorem napędowym gospodarki.

Takie podejście również miało katastrofalne skutki. W 1983 r. liczba bezrobotnych przekroczyła 3,6 mln, pozostawiając całą masę ludzi poza nawiasem społeczeństwa dobrobytu. Zamykane fabryki, restrukturyzowane zakłady, masowe zwolnienia, brak osłon socjalnych i niskie zasiłki doprowadziły do powstania

pokolenia przegranych. Zwłaszcza na północy Anglii i w Szkocji. Pojawiło się wówczas słynne pokolenie Trainspotting.

Setki tysięcy młodych ludzi zostawiono swojemu własnemu losowi. Bez edukacji, bez pracy, bez jakiegokolwiek zajęcia, bez żadnych perspektyw. Młodzi pogrążyli się w alkoholizmie, beznadziei i narkotykach. Ucierpieli jednak także ci, którzy pracy nie stracili. Elastyczne formy zatrudnienia, wydłużony czas pracy, zwiększenie odległości od miejsca pracy i miejsca zamieszkania odbiły się na tzw. kapitale społecznym. Na początku lat 70. przeciętny rodzic poświęcał dzieciom 30 godzin tygodniowo, na początku lat 90. już tylko 15. Ciężaru wychowawczego nie potrafili udźwignąć nauczyciele.

Zwłaszcza że ich zarobki relatywnie spadły. Ze 137 proc. średniej płacy w 1974 r. do 99 proc. w 1992, co skutkowało negatywną selekcją w zawodzie i przyczyniło się do kolejnego wielkiego społecznego problemu, czyli postępującej nierówności społecznej i wykwitu problemów wychowawczych. Od ciąż nastolatek, poprzez pijaństwo, na słabych wynikach w nauce kończąc. Dziś, kiedy Cameron walczy z „gnuśną młodzieżą”, tak naprawdę boryka się z problemem wytworzonym przez Żelazną Damę. Błąd Thatcher w odejściu od „prawdziwej gospodarki” i oparciu się na „matrixowej ekonomii” zauważono jednak dopiero w ostatnich latach.

Niemcy oraz kraje skandynawskie, w których wciąż istnieje prawdziwa produkcja, a gospodarka oparta jest w dużej części na przemyśle, znacznie lepiej radzą sobie z kryzysem niż Wielka Brytania, uzależniona od magicznych operacji finansistów z City. Okazuje się, że mimo iż praca w klimatyzowanym biurze i przenoszenie spinaczy z jednej części biurka na drugą lepiej wygląda w CV, to jednak jej prawdziwa wartość jest znacznie mniejsza od samego produkowania tychże spinaczy. Podobnie jest z kwestią „walki z biurokracją”. Leniwy, bezproduktywny urzędnik na początku lat 80. stał się wrogiem publicznym numer jeden. I został nim do dziś.

Przypisywanie jakichś zasług Margaret Thatcher w walce z biurokratycznym smokiem to, jak przystało na bajkę o smoku, kolejny mit. Udało jej się nie tyle ją ograniczyć, co sprywatyzować. Wcześniejsze zadania urzędów zajmujących się oświatą, służbą zdrowia czy infrastrukturą przekazano w ręce quasi-autonomicznych organizacji pozarządowych, tzw. quangos. Na początku lat 90. było ich około 8 tys. Działających niegospodarnie i poza wszelką demokratyczną kontrolą. Marnotrawiących ok. 54 mld publicznych pieniędzy rocznie. I w przeciwieństwie do urzędów publicznych pobierających dodatkowe opłaty.

BOGACTWO DLA BOGATYCH

Na rządach Thatcher tak naprawdę zyskali jedynie bogaci. Przed rokiem 1979 podatek dla najlepiej zarabiających wynosił 83 proc., a w niektórych przypadkach nawet 98 proc.! Żelazna Dama ramie w ramie z Ronaldem Reaganem wprowadziła trend stopniowego obniżania podatków osobom najlepiej zarabiającym i rozpowszechniła mit, obowiązujący do dziś, jakoby obniżka podatków ludziom przedsiębiorczym skutkowała polepszaniem bytu osobom mniej zamożnym i dobrze działała na gospodarkę. Ostatnie 30 lat zupełnie przeczy temu dogmatowi. Historycy ekonomii nazywają lata 1945-1975 „złotą erą kapitalizmu”.

Kraje kapitalistyczne mimo wysokich podatków notowały wtedy średnio 3-proc. wzrost rocznie, podczas gdy przez ostatnie trzy dekady średni wzrost był o połowę niższy. Przeciwnicy progresji podatkowej twierdzą, że wysokie podatki dla bogatych zniechęcają do inwestycji, innowacji i zatrudniania nowych pracowników. W praktyce jednak progresja podatkowa nie zniechęcała legendarnych przywódców biznesu z lat 50. i 60. nie tylko do zatrudniania, ale także do podnoszenia wynagrodzenia robotnikom. Sam Henry Ford w 1914 r. zszokował Amerykę, dobrowolnie przyznając robotnikom w swoim nowym zakładzie blisko 100-proc. podwyżkę.

„Wierzę w biznes polegający na prosperity 20 tys. zadowolonych

robotników, a nie w poganianie niewolników” – powtarzał wtedy. Ford wierzył, że produkcja samochodów będzie mieć sens tylko wtedy, gdy przeciętny robotnik będzie mógł sobie pozwolić na nowe auto. Największe sukcesy kapitalizmu zbudowano na zasadzie dobierania cen i płac tak, żeby przeciętny człowiek mógł sobie kupić dom, samochód i telewizor. Stać się ważnym kółkiem w mechanizmie kapitalizmu. Napędzającym, zwłaszcza przez konsumpcję, maszynę dobrobytu.

Dziś w Wielkiej Brytanii rozwarstwienie społeczne jest największe w historii. Dochody najwięcej zarabiających zwiększyły się o 10 proc., natomiast zarobki najmniej zarabiających skurczyły się o 10 proc. W UK żyje dziś ponad 10 mln osób, których zarobki nie przekraczają 15 tys. funtów rocznie, a zaledwie 25 proc. społeczeństwa osiąga dochód przekraczający 30 tys. Jednocześnie zarobki najbogatszych rosną w zatrważającym tempie.

Bossowie największych korporacji (np. British Gas, Barclays, Xstrata) zarabiają 1000 razy więcej, niż wynosi mediana dochodów na Wyspach. Zwolennicy neoliberalizmu krzykną, że to dlatego, iż ludzie ci są niezastąpieni, wybitnie utalentowani i pracowici. To jednak kolejny mit. Badania psychologa i noblisty Daniela Kahnemana pokazują, że wydajność i efektywność najlepiej zarabiających finansistów wynoszą zero.

„Podczas podejmowania strategicznych decyzji równie dobrze mogliby rzucać monetą” – mówił zaraz po ogłoszeniu swoich ośmioletnich badań. W kasynowym kapitalizmie, jak w grze przy automacie w Vegas, czynnikiem decydującym o wygranej nie jest analiza, wykształcenie i skomplikowane modele matematyczne, ale zwykły łut szczęścia. Powszechne obecnie przekonanie, że zdolni, utalentowani, wykształceni i pracowici są zamożni, a głupi i leniwi klepią biedę z własnej winy, to kolejny mit rozpropagowany w ostatnim trzydziestoleciu, który obciąża konto Żelaznej Damy. Warto o tym pamiętać, gdy jej duch powraca. I znów straszy thatcherowską rewolucją w wersji 2.0.

Autor: Radosław Zapałowski

Źródło: [eLondyn](#)